

HISTORIA NIEKTÓRYCH KŁAMSTW Z Władysławem Zambrzyckim rozmawiał Marek Sadzewicz

„Stolica”
nr 1 z 1960 r.

– *Panie Władysławie – zwróciłem się do Władysława Zambrzyckiego – nasze skronie przysypała siwizna. Może byłaby pora, żebyśmy się przyznali do niektórych kłamstw!*

– Słusznie – zastanowił się autor „Naszej Pani Radosnej” i „Filipka” – może byłaby i pora. A nagromadziło się tego niemało.

– *Chodzi mi o rzecz konkretną. W numerze „Stolicy”, w tym, w którym się znajdujemy razem z naszą rozmową – jest obok relacja o słynnym domu nawiedzonym – róg Al. Ujazdowskich i ulicy Wilczej, w którym s t r a s z y ł o do tego stopnia, że nikt nie mógł mieszkać i gospodarz odnajmował mieszkania jeszcze za dopłatą... Panie Władysławie! Zaklinam pana jako autora wielu fantazji, które miały ten priorytet wobec fikcji literackich, że były uważane przez ludzi za prawdę i wywoływały następstwa takie, jak gdyby były prawdą; niechże mi pan powie – niech się pan przyzna wobec następnych pokoleń – czy to pan wymyślił tę historię z duchami na rogu Al. Ujazdowskich i Wilczej?*

– Zaprawdę nie – z ogniem zaprzeczył pan Władysław – to musiała być robota k o n k u r e n c j i. Może Pomeranc? A może Jureczek Zajdenman? Ja osobiście mogę się przyznać do innej, podobnej mistyfikacji, niedaleko od miejsca, o które panu chodzi, a mianowicie na ulicy Mokotowskiej tuż placu przy Trzech Krzyży.

Mieszkała tam matka z dwiema córkami. I zaczęły się tam pokazywać d u c h y. Czegóż te duchy nie wyprawiały: i szafy przenosiły i pokazywały się w niesamowitej postaci. Czy tam coś było – nie wiem. Fakt jest, że w „Expressie” ukazała się wstrząsająca rewelacja o duchach na ulicy Mokotowskiej przy placu Trzech Krzyży i odtąd się zaczęło. Tłumy gromadziły się, zatykając komunikację, tak że policja, wydział regulacji ruchu zwracał się do naszej redakcji, żebyśmy coś na to zaradzili. Ale już nie było sposobu. Nie można było okiełznać żywiołu raz rozpętanego. W tym właśnie czasie uruchomiono pierwszą linię autobusową, przebiegającą również przez ulicę Mokotowską. W zaraniu swego istnienia autobusy musiały zmienić trasę z powodu tłumów na Mokotowskiej.

– *Klasyczna bujda, światowej sławy wąż morski z Loch Ness został uśmiercony przez własnego twórcę, którym okazał się dziennikarz. Stało się to dopiero w roku ubiegłym. W ciągu lat blisko czterdziestu rzekomy potwór morski z Loch Ness wywoływał coraz to nowe relacje, skupiał wokół siebie w okresach ogórkowych zainteresowanie opinii światowej.*

– Ja nie uśmiercałem swoich bujdz. Również i tej, która podobnie jak Loch Ness dotyczyła węża, a właściwie żmii.

– *Ach, więc tak. To pan jest autorem słynnej historii o żmijach, które pojawić się miały w Ogrodzie Saskim i atakować spokojnych spacerowiczów?*

– Ze skruchą się przyznaję: tak. Początek był niewinny. Odprowadzałem pewną młodą aktorkę na próbę do Teatru Letniego, który się mieścił, jak pamiętamy,

w Ogrodzie Saskim. W pewnym momencie aktoreczka szepnęła, tuląc się do mego ramienia: „A co by było, gdyby teraz z krzaków wyskoczyła żmija!”.

Pomysł aktorki dał mi asumpt do wspaniałej bujdy. Następnego dnia dałem w „Expressie Porannym” wiadomość o człowieku pokąsanym przez żmiję w Ogrodzie Saskim. Przez kilka dni „Express” karmił opinię publiczną podobnymi wiadomościami, znakomicie udokumentowanymi. Nie tylko podawaliśmy numer prywatnego pogotowia ratunkowego, które udzielało pomocy pokąsanym, ale nawet fotografie tych osób. Łatwo się pan chyba domyśli, jakim sposobem. Telefono- wałem do właściciela którejś z prywatnych firm lekarskiego pogotowia ratunko-wego (jak na przykład: 555 – 55) i umawiałem się, że podam ich numer, to prze- cież była dla nich świetna reklama. A podobizny pokąsanych? Wycinało się jakąś drugoplanową osobę ze zdjęcia serwisu zagranicznego, powiększało się ją... A naz- wisko? Na przykład: p. Jan Kaczmarczyk z Poznania.

– *No, właśnie. A kiedy ja robiłem reportaż w Warszawskim Pogotowiu Ra- tunkowym, to mi powiedziano, że z uwagi na pojawienie się żmij w Warszawie Pogotowie zaopatrzyło się w specjalne ampułki z surowicą przeciwko jadowi żmij...*

– Muszę jednak powiedzieć, że właściwym autorem większości bujd, jakie uda- ło mi się rozprzestrzenić, był Szymon Krongold. Któż dzisiaj wspomni o tej wspa- niałej, tak bardzo sympatycznej postaci... Miał w sobie coś franciszkańskiego, a je- żeli sięgnąć do porównań ze świata dawnej warszawskiej cyganerii dziennikarskiej – coś z Aleksandra Powojczyka. Z Szymonem Krongoldem mieliśmy spółkę. On puszczał bujdy w prasie żydowskiej, a ja powtarzałem je w prasie polskiej – i od- wrotnie. W ten sposób każde z naszych kłamstw miało swojego rodzaju dokumen- tację... Poza tym Cynjan: sprzedaż Kolumny Zygmunta. Nigdy nie było takiej afe- ry; myśmy ją wymyślili. A więc kłamstwo...

– *Kłamstwa nieszkodliwe...*

– No, nie zawsze. Historia ze żmijami wywołała niezamierzony przez nas po- grom... nieszkodliwych zaskrońców. Na przykład policja zabiła dwa zaskrońce ho- dowane przez proboszcza kościoła przy ulicy Długiej. No, ale ja się wywnętrzyłem, a pan co?

– *Mam nierównie mniejsze od pana pod tym względem wyniki. Zresztą, gdy- byśmy chcieli opowiedzieć wszystko, trzeba by wypełnić cały numer „Stolicy”. Opowiem tylko, jak ja, młode chłopię, aplikant wówczas dziennikarski, sam pad- łem ofiarą bujdy. Zatelefonował do mnie w nocy jeden ze starszych kolegów z in- nej redakcji, donosząc, że dziś wieczorem spadł samolot na słup gazowy przed Politechniką, gaz wybuchł i oświetlił pół nieba. Dałem to do numeru, strasznie mnie potem zwymyślano w redakcji, a ten starszy kolega zadzwonił z przepro- sinami, mówiąc, że niepotrzebnie się nabrałem, bo to był „strzał przygotowany dla Pomeranca”. Za moim pośrednictwem zaniechano nabrać jednego z konku- rentów, a tu nabrałem się ja – naiwny. Pamiętam również, jak wymyślona prze- ze mnie bujda doczekała się przedruku w prasie amerykańskiej, a następnie po- jawiła się z powrotem w Warszawie, już jako przedruk z pism amerykańskich...*

– Pan to wszystko zamierza wydrukować w „Stolicy”? Niech pan przynajmniej uzgodni ze mną tekst...

– Po co? Jeśli coś będzie zęlgane, to trudno. Niech pan przyśle sprostowanie i... „Kto chce, niech czyta”.